

# SZTUKA I NARÓD

Nº 13

Cena 5 zł

listopad 1943

Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej

C.K. Norwid

## ŚP. STANISŁAW ŁOMIEN<sup>1</sup>

Redaktor „Sztuki i Narodu” padł w służbie kultury polskiej, rozstrzelany na ulicy Warszawy 12 listopada 1943 roku. Śmierć Jego trudno zawrzeć w słowach, pozostaje nam wewnętrzny nakaz urzeczywistnienia Jego myśli.

Koledzy

## W KLIMACIE KULTURY IMPERIALNEJ

### 1. Demagogia przemocy

Zwrot, jakim się operuje dzisiaj – „rewolucja świadomości kulturalnej” czy „rewolucja świadomości politycznej” – nie jest bynajmniej czczym echem Brzozowskiego, jest w ogóle dzisiaj frazesem mniej niż kiedykolwiek. To rozstrzyga w stawianiu zagadnień.

Ponieważ teatrem rewolucji jest tylko i wyłącznie nasza świadomość kulturalna i nic ponadto – nie może istnieć i nie może wykolejać przebiegających rewolucyjnie procesów żadna dręcząca przemoc. Wszystko, co powstaje w zrewolucjonizowanej świadomości kulturalnej Polski, jest rezultatem wewnętrznych, własnych, z pogłębionego sumienia płynących nakazów, jest rezultatem – by raz jeszcze podkreślić – jedynie własnej, dobrej woli.

Tradycyjne lęki polskiego inteligenta przed wiązaniem rewolucji kulturalnej z jakimkolwiek przemianami i bodźcami płynącymi z przemian politycznych, małoduszne i instynktowne zapieranie się przez polskiego inteligenta kultury mającej ambicję oddziaływania poza strefę określoną politycznymi granicami, demagogiczne przerażenie polskiego inteligenta wobec kultury rzekomo nie tylko zdeterminowanej przez podłoże polityczne, ale wręcz powstającej na rozkaz polityki – nareszcie, raz w końcu wszystko zdemaskowane!

Klerkowska, inteligencka, małoduszna demagogia o przemocy jest dziś fikcją. Wszystko, co aktualnie powstaje, jest wyłącznie owocem wolności. Jest powstawaniem nie na rozkaz bynajmniej, co najwyżej na nakaz. Nakazy te biją ze źródła jedynego i wolnego: sumienia twórcy. To miał na celu wyświetlić wstęp niniejszy, rehabilitujący żywość i realność zwrotu o „świadomości kulturalnej”.

## 2. Klimat rozkwitającego mitu

Klimat kultury imperialnej nie jest czymś, co roztacza się poza nami i co w rezultacie może grozić niszczaniem i zabijaniem nas. Jest jedynie czymś stwarzanym we wnętrzu psychiki, czymś, co może jedynie rozwijać nas w dalszym ciągu, ponieważ samo jest wynikiem rozwoju. To ograniczenie procesów kulturalnych do granic czystej świadomości twórczej może wprowadzić różnymi innymi niebezpieczeństwami: właśnie pokusami klerkowstwa, zerwania związków z pełną pozakulturalną rzeczywistością. Skoro jednak pokusa ta dzisiaj nikogo nie przywodzi do grzechu, świadczy to o fikcyjności tego także niebezpieczeństwa.

Klimat kultury imperialnej, w jakim żyje nasza świadomość zbiorowa, rozwija ją jak na polskie dziewiętnasto- i dwudziestowieczne tradycje niezwykle oryginalne. Wiek XIX stworzył w Polsce koncepcję kultury narodowej jako *sui generis*<sup>2</sup> gigantycznego pomnika narodu. Koncepcję tę realizują zarówno „Dziady” i „Kordian”, jak „Wyzwolenie” i „Wiatr od morza”.

Przy podobnej koncepcji kultury jako pomnika narodu zainteresowania obcych mogą mieć, czy muszą nawet, zawsze piętno oczekiwania na pomnikowe niedyskrecje, na swoiste sensacje kultury. Kulturę trzeba brać wtedy tylko pod kątem widzenia jej egzotyki. Polskiej egzotyki!

Egzotyka jednak ciekawi, jątrzy, fascynuje, ale nigdy nie zmusza do pogłębienia swojej wizji świata, do przyspieszenia procesów etycznych, słowem, nie wychowuje ani nie utwierdza człowieka w jego człowieczeństwie. Kultura własna, mająca ambicje oddziaływania na innych, przekraczania politycznych granic własnego narodu, wypromieniowywania własnych wartości i wiązania nimi, przywiązywania do siebie obcych – jednym słowem, kultura imperialna musi być czymś więcej niż pomnikiem. Czytanie cudzych pomników ma w sobie zawsze podskórny smak nieprzyzwoitości, immoralizmu, szczególnie pomników kogoś, kto cierpi. Kultura imperialna musi ekspresjonistyczną postawę wyrażania siebie zastąpić kracjonistyczną postawą tworzenia dzieł kultury jak najbardziej obiektywnych, niezależnych z chwilą stworzenia od swoich twórców, mogących iść samodzielnie i bez naszej opieki – na podbój świata.

Czerpanie z własnego wnętrza i z własnego zewnętrznego klimatu tworzywa, ale przekształcanie go na obiektywne, ponadpolskie, uniwersalistyczne dzieła kultury – oto rdzeń przemiany.

## 3. Mit kultury a jej realizm

Kultury prawdziwie silne, mające świadomość własnej siły, nie poprzestają nigdy jedynie na organizowaniu swego kulturalnego mitu. Wola kultur silnych nie zużywa się i nie niszczy wytwarzaniem i stawianiem przed sumieniem człowieka co raz to nowych imperatywów. Imperatywy i mity kulturalne – o tym trzeba pamiętać – najłatwiej powstają w zamroczeniu, jako emanacja upojonej wyobraźni. Najłatwiej dlatego, ponieważ w owym zamroczeniu czy upojeniach tracą charakter trudnych i niebezpiecznych zadań, a płaczą się i utożsamiają chętnie z dowolnie widzianą i nierealnie ocenianą rzeczywistością istotną.

W istocie, w męskim, dojrzałym spojrzeniu pomiędzy mitem i imperatywem kultury a istniejącą realnie rzeczywistością zawsze będzie dystans. Dystans ten, miara tego dystansu jest miarą siły zdobywczości. Świadczy o odwadze kulturalnej. Jest poddaniem twardej próbie kulturalnego dynamizmu. Bo sił kultury nie mierzy się siłomierzem ani ilością koni mechanicznych. Mierzy się uświadomioną sobie, widzianą i odczuwaną jako zadanie, rozpiętością pomiędzy imperatywem i mitem a realistyczną wizją istniejącej rzeczywistości. Realizm kultury jest w równej mierze kwestią mocnej i dobrej woli, co mit. Kultura prawdziwie silna zdobywa się obok wysiłku wytworzenia mitu na wysiłek ogarnięcia, swego rodzaju imperialistycznego podboju przez świadomość kulturalną, pełnej, najbardziej pełnej rzeczywistości.

Dopiero te dwa momenty: mit i realizm, związane ze sobą strukturalnie obdarzają kulturę męską równowagą, dojrzałością i dyscypliną. Inaczej albo jest romantyczne pomieszanie rzeczywistości z naszym pragnieniem i tęsknotą, albo oportunistyczny liczenie się, co brania sobie za normę „wszystkiego cokolwiek istnieje”.

#### 4. Konieczność ruchu kulturalnego w Polsce

Walka z „Polską fantastyczną” nie wystarcza. Potrzebny jeszcze mit kultury imperialnej. Mit wielkiej historii: ogień, który zapala sumienia, oczyszczające je z małości. Myśli te powstawały w tym właśnie klimacie gorejącym, ale i oczyszczającym zarazem – klimacie kultury imperialnej wraz z jej wielkimi mitami-zadaniami: przebudowania polskiego snobizmu na polską samodzielność, polskiego importu na polski eksport, polskiego subiektywizmu i pamiętnikarstwa, w którym pokutuje romantyczny postulat wyrażania własnej duszy, na obiektywizm, w którym wyraża się męski, dojrzały, z tomizmu wyrastający postulat tworzenia – kreowania.

Istnieje głęboka i pełna odpowiedzialności konieczność wywołania w kulturze polskiej – a dziś przynajmniej przygotowania, jeśli nie wywołania – jakiegoś wielkiego, szerokiego, ogarniającego cały naród ruchu kulturalnego, który związałyby ze sobą te dwa momenty polskiej rewolucji – mit o imperium i realistyczną, odważną wizję rzeczywistości otaczającej nas – i który byłby ruchem posuwania się po tej wielkiej drodze historycznej od tego, co realnie istnieje, ku temu, co być musi.

Istnieją także warunki wywołania takiego ruchu kultury polskiej. Warunki te stwarza ostry, śmiertelny dla słabych, ale hartujący mocnych, klimat czterech lat wojny, jakiej nie mieliśmy dotąd w historii. Ale jednocześnie, znając tradycje polskiej małości, indywidualistycznie pojmowaną w Polsce kwestię odpowiedzialności etycznej, przerost ambicji a brak wielkiej dumy dziejowej, tęsknoty polskie za sensacją a obojętność wobec prawd kultury jako wobec czegoś nudnie naturalnego i oczywistego – znając, widząc realistycznie polską rzeczywistość kulturalną, trudno zaryzykować zdanie, że nawet w klimacie kultury imperialnej i przy innych sprzyjających warunkach owoce rewolucji wojennej zdołają naprawdę dojrzeć. W polskich warunkach mówienie o dojrzewaniu czegokolwiek zakrawa zawsze na paradoks.

Stanisław Łomień [Andrzej Trzebiński]

## BALLADA NAJKRÓTSZA

Panie! Tych kilku chłopców chroń  
Zanim ich gminna pieśń ukocha,  
Którzy w czterdziestym trzecim roku  
Za Bug ponieśli kruchą broń.

Nim drzew korony pokrył liść  
Ledwie wiosenna zeszła woda  
W niepewne jutro garstka młodych  
Umiała w owym roku iść.

### P r z e s ł a n i e :

Gdy ziemia wokół pustoszeje,  
O Panie miecz i kulę osądź,  
A mnie Kiplinga pozwól strofą,  
Opiewać mego kraju dzieje.

Bronisław Łuski [Jerzy Zagórski]

## (CHWILA)\*

### 4.

Na morzach południowych zakwitły wtedy niezapominajki.  
Kolorowe okręty pełne laskowych orzechów i tęsknoty żeglowały po falach niebieskich jak farbka.  
Drobny ślimak na szczycie palmy na próżno wołał o dym i blask. Pochylał oczy rozumiejące powietrze.  
Ale milczały korale wygięte jak dzbanki.  
I tylko barwne morskie zwierzęta tańczyły w cieniu skał i żagli.  
Po starcie córki był tak zamyślony, że nie dostrzegł braku ptaków i motyli.  
A one marły wyrzucone wraz z gwiazdami na ciepły piasek.  
Wśród węgla niedawnego pożaru owady i głogi podniosły niepewne głowy, by patrzeć, jak na wielkim liściu ogarek papierosa drążył przepaść.  
I krzyk już czał się pod samą powierzchnią krajobrazu.  
Ale było chłodno i syreny miast zatopionych odchodziły nadąsane.

---

\* Z tomu pt. „Okno”; z Biblioteki Sztuki i Narodu, nr 2

## (U KRESU)

### 7.

Więc ustawiłem na podłodze swoje życie. Figurki, obrazki, wołania. Jak ono naiwnie wygląda teraz – a na śladach moich wyrasta słona trawa o brwiach wiecznie podniesionych.

To tak będzie jak na dnie kamienia, który ma pęknąć niedługo. Zastanawiać się czym jest i była a przyjdą uważne białe obłoki. Szukanie swojego miejsca między ludźmi i liśćmi obsypuje się jak żwir.

Wycinali las na przestrzał. Siekiery dzwoniły po mnie jak galop.

Po nieudolnych próbach zrozumienia okien błądziłem między znieruchomiałymi, zaszłymi bielmem domami a cienkie szyby siadały mi na skroniach.

Po przez pnie drzew zwalonych Anna opuszczaniem zmęczonych powiek daje znak, że śnieg pada ciągle i będzie wznosił się coraz wyżej.

Gdyby teraz odezwał się świerszcz, wyrzeźbił by ściany w naiwny rysunek odległych wiązków i uśmiech matki prosty jak krzyż.

Teraz Bóg tkwi mi na piersiach jak kleszcz i rośnie zwolna wypełniając się moją krwią.

Jak okrągłym kamieniem, który patrzy do góry.

Gdybym nauczył się modlić może stałbym się jak dym.

Marek Chmura [Zdzisław Stroiński]

## FRAGMENT OPOWIADANIA

Noc była jasna i Krzysztof przemierzając mały placzyk na skraju, którego mieściła się kwatera jego plutonu, widział dokładnie każdy przedmiot, każdy kształt przed sobą. Oparkaniona przestrzeń przylegała z dwu stron od zagród wiejskich, tworzących długą ulicę. Wieś nazywała się Koty i tutaj porucznik zarządził nocleg. Wielka stodoła wystarczyła dla całego plutonu. Lubiak chciał mieć ludzi w kupie. Krzysztofowi dostała się ostatnia już warta i wiadomość o swojej godzinie przyjął obojętnie. Trzecia? Dobrze, niech będzie trzecia. Wóz taboru stojący na środku podwórka, przeszkadzał Krzysztofowi w spacerze. No tak, był to piękny nocny spacer. Złudzenie mógł rozproszyć tylko karabin, traktowany przez Krzysztofa pobłaźliwie, bez zbyteńszego szacunku: nie, nie był to odpowiedni towarzysz w tej pięknej wrześnie nocy. Denerwujący był dyszel wozu, sterczący przez całe niemal podwórko. Krzysztof omijał go uważnie, z przesadą stawiając nogi. Drzewa po dwu stronach szumiały lekko, wieś spała jak zwykle, choć tej samej nocy wioski podobne poznawały zbliżającą się ku nim zatrąbę przez falujący bukiet ogni i głucho wybuchy na tle gwarne nieba. Krzysztof zatrzymał się. Uniósł głowę ku górze. Gwiazdy stały szeroko, nieruchome i zimne. Przez kołyszące się pęki liści przeświecał księżyc. Patrzącego ogarniał ten nocny spokój ciepłym oddechem. Niewyobrażalne pragnienie trwania, bycia w tym spokoju jak najdłużej, wiecznie, wypełniało mu pierś. Strumień wzruszenia ścisnął krtań. Przeczucie? – pomyślał Krzysztof i przypomniał sobie Helenę – Czy teraz mógłby dać jej odpowiedź, czy wrócić? Ruszył z miejsca. Przerzucił karabin ma drugie

ramię. – Teraz Nie, to było co innego. To nie wiedza, lecz jej pragnienie. Chwila ta nie była pierwsza w jego życiu. Pierwszy raz zdarzyła się... Gdzież to zdarzyła się ta chwila... jest, jest – kiedy wychodzili z Łodzi...

Była noc. Lecz była to noc nie spokoju, jak tutaj, ale grozy. Pierwsza noc wojny dla Krzysztofa. Wtedy poznał złowrogi czar płomieni na ciemnym niebie, zarys dymów i swąd polskiej żywicy. Zatrzymali się w jakiejś wiosce, zawalonej sprzętem, wszelkiego rodzaju bronią, wojskiem i końmi, najspokojniejszym z całego zbiorowiska istot i maszyn przeznaczonych do zadawania śmierci. Krzysztof, obarczony jak zwierze juczne, zgarbiony pod jarzmem plecaka, przysiadł w rowie przydrożnym, oparł się o stromy stok ziemi ciężarem swego ładunku i uniósł głowę ku niebu. I wtedy zobaczył, że gwiazdy stoją nad nim milczące, obojętne dla spraw ziemi, obce. Przeraziła go myśl, że wszystko, co się odbywa między człowiekiem jest wyłącznie dziełem jego rąk, że nic i nikt nie zdoła poruszać ładu nieba, wzdorczego dla śmierci i walki o trwanie. Najpierw więc głęboka trwoga, że żadna nadzieja nie czeka go już, że cokolwiek się zdarzy będzie samotne, nie przemówi za nie nikt, nic, żaden sędzia nie wtrąci swego głosu, kiedy przyjdzie umierać. Nie lubił tego słowa, nie lubił tak bardzo, że przez nie nie czytał poezji. Zbyt często spotykał je płaczkliwie, w kontekście zawsze religijnym. Nienasycona żądza patrzenia w okrutne niebo, nieodgadniony sens milczenia świata, w którym on, Krzysztof, chciałby zostać niezauważony jak dotychczas, pomijany w sprawach roślinnych i zwierzęcych, szarpnęła nim brutalnie. Wielka siła leżała w tym nienasyceciu, skoro musiał zaciskać zęby aby nie krzyczeć, aby nie wołać, że on, Krzysztof – nie chce, nie zgadza się, nie rozumie.

Robiło się jasno. Mgła spadła na ziemię.

Potem się zgodził. Czy się zgodził? Nie potrafiłby już krzyczeć wydawałoby mu się to cikliwe, a jednak, przed chwilą... Nigdy nie należy mówić: na pewno. W rowie, w nocnej wiosce za Łodzią ta liryczna chwila była jak błyskawica, po której robi się jeszcze bardziej nieprzenikniona ciemność. Jednak się zgodził, że nie może być inaczej, zdawało mi się, że już na pewno będzie spokojny. Chociaż w dalszym ciągu – nie rozumiał. Nie rozumiał, kiedy przechodził ze swoim oddziałem przez cmentarze poczerwiałych kominów, obok wzdętych trupów ludzkich, wygrażających skrzywionymi twarzami żywym, którzy mijali ich w milczeniu, w ciekawej ostrożności, nie rozumiał, kiedy rozwydrzone stado ludzkie biło się w obliczu śmierci o łach, kawałek mydła lub sprzętu. Nie rozumiał, kiedy w jednym z miasteczek zobaczył na stosie gorącego popiołu zgiętą staruszkę, która kawałkiem patyka szukała w zgliszczach domu ciepłiwie, nie podnosząc oczu, których ciekawy był Krzysztof. Nie wiedział, skąd to skojarzenie, lecz miał prawie pewność, że oczy te były, jak oczy Heleny, gdy żegnali się na dworcu. Nie rozumiał...

Czyż nie istnieje siła, którą nazywają Bogiem, zdolna do interwencji w spawach człowieka, skoro złe są? Czyż nieuchronność świata, nieba, drzewa, wody – nie jest świadectwem, że jest on wolny, niczym, żadnym prawem nie związany z ludźmi? Już nie chodziło mu o siebie, o tę wielką łaskę przetrwania, nie rozumiał sensu miłości do nieba, które – czyżby było – puste?

Wierzeje stodoły zgrzytnęły. Krzysztof spojrział w jej stronę. Przez wąską szparę w ciężkich drzwiach przepychała się na zewnątrz postać. Lubiak. Ziewał i manewrował rękami nad głową, że trzeszczały kości.

–No, co tam, spokojnie?

–Spokojnie, panie poruczniku.

Jeszcze jedno otwarcie ogromnych szczęk.

- Godzina?
- Piąta dochodzi.
- Zaczął zapinać zniszczony, wyblakły drelich.
- Wy jesteście... inteligent, prawda?
- Krzysztof nie zdziwił się.
- Można tak powiedzieć.
- Gorycz, kolego?

Nie odpowiedział. Tamten chwilę milczał.

- Nie byliście w podchorążówce. Nie macie żadnego stopnia.
- Wylali.
- To się podobało.
- Wylali? Za co, kochani?
- Kobieta.

Gwizd. Taki, co rozumie wiele, domyśla się, dyskretny... uważne spojrzenie w młodą ściągłą twarz, moment skoncentrowania uwagi w jasnych oczach Krzysztofa, delikatna rewizja całości od kamaszy po daszek czapki.

- Kobieta to jest szatan.

Sentencja była kiepska. Nagle inny, liryczny nieco styl. Głos niżony, zwierający się.

- Widzicie, kolego - ja także o tym coś wiem. Pamiętam, ale to stare dzieje...

Znów styl nowy.

- O czym to myśleliście przez tę godzinę?

Nie, z tym człowiekiem nic się nie nawiąże. Krzysztof miał nawet chęć pogadać. Sądził, że dowie się czegoś od tego nerwowca, który musiał mieć za sobą plon doświadczeń, ogrom wiedzy o życiu. Niegrzecznie wprost:

- O spaniu, panie poruczniku.
- Nie o smutku?

To było ciekawe. Lubiak zrobił kilka kroków naprzód. Krzysztof bezwiednie dołączył.

- Bo widzicie - oficer przystanął i spojrzał w białe już niebo - lubimy smutek, właściwie jesteśmy ciągle w walce o smutek.

Krzysztof ucieszył się. Pragnął powiedzieć o swoich wątpliwościach, o tej głównej zwłaszcza, czy...

- Ja się wam nie spowiadam, kolego, tak mi jakoś się powiedziało.

Wstydział się? Żałował, że dał się wciągnąć?

- Ta wielka prawda została już powiedziana wiele razy, panie poruczniku, nie mniej, zawsze uderza świeżością swego ładunku.

Lubiak żałował wyraźnie.

- Mówicie książkowo, kolego, czy naprawdę jesteście aż tak inteligentni?

Krzysztof wiedział o tym. Nie szło mu jednak. Pomiędzy nim a oficerem nie było klimatu, nie wytworzył się żaden pomost. Nie, z pewnością nie uda się rozmowa. To oschły i gruboskórny człowiek. Pytanie formalne:

– Was rozbili? Kto właściwie? Przecież piechota niemiecka tak wcześnie nie zaszła, aby...

Pamiętaj zatem, że Krzysztof wyszedł z Łodzi.

– Rozproszyły nas naloty. Zawiniło także dowództwo.

Solidarność oficera odezwała się.

– Dowództwo, dowództwo... Hołota, która nie chce się bić zawsze składa winę na dowództwo. Mniejsza z tym.

Krzysztof jako szeregowy nie mógł się obrazić. Ta hołota...

– Więc smutek. Czy wiecie, że jest on czasami największym szczęściem?

Jednak? Lubiak był ciekawy.

– Są chwile w życiu, że człowiek żyjąc w grupie, interesując się jej zainteresowaniami – w gruncie rzeczy pozostaje sam dla siebie smutny. Jest w tym wiele egoizmu, ale może coś więcej. „Największa rzecz na świecie to umieć należeć do siebie” – napisał Montaigne.

Znowu ruszył. Krzysztof porzucił broń na wypoczęte ramię.

– Może coś więcej, kolego. Wiecie, nawet w miłości jest się dla siebie. Czy wierzycie w sprawiedliwość?

Krzysztof nie umiał odpowiedzieć. Brakowało jednego ogniwa, po nim mogło paść to pytanie. Lubiak wyczuł, nie był gruboskórny.

– Czy wierzycie w Boga?

Znalazł się klimat. Pomost był rzucony.

– Zastanawiałem się nad tym podczas warty.

– Zły z was żołnierz. Podczas warty o takich sprawach się nie myśli. Są ważniejsze

Krzysztof nie wyłowił z tego odcienia ironii.

– No i...?

– Gdyby niebo było puste – wówczas nie warto w ogóle myśleć o nadziei, że gdzieś tam przedłużymy swoje życie – powtórzył.

– A zatem?

– C h c ę wierzyć. Bez wiary sens życia byłby nie pełny.

Wierzycie więc w sprawiedliwość?

To zupełnie zrozumiałe, że w tej chwili Krzysztof pomyślał o medaliku Heleny i przeczytał z pamięci napis wokół krzyża: We mnie jest sprawiedliwość.

– Wie pan – opuścił stopień służbowy, bez niego było więcej prywatnie – boję się, że tego zagadnienia nie rozwiązałem jeszcze. I w ogóle koncepcja mojego Boga...

– Waszego Boga – uśmiechnął się Lubiak.

– Tak, mojego Boga, nie jest no, jakby powiedzieć, tradycyjna, ortodoksyjna. Niech pan pomyśli. Dzieją się rzeczy straszne. W człowieku rośnie zwierzę, tak to określamy. Idąc z Łodzi widziałem na kupie zgliszcz staruszkę, która grzebała w popiele kawałkiem gałęzi. Z tyłu paliły się jeszcze domy. Poza tym było pusto. Tylko my przechodzący i ta paląca się wioska ze zgiętą nad spopielałym dobytkiem staruszka. Ciekawy byłem jej oczu...

Niemal zaczął mówić o Helenie. Zorientował się.

– ...ta wojna. Tymczasem niebo, o , te drzewa, kwiaty, ten las, widzi pan, sosnowy piękny las nie biorą



udziału w naszej trwodze, w naszej modlitwie, bluźnierstwie. A przecież to wszystko Bóg.

– Ach tak – Lubiak okraczył dyszel wozu, sięgnął do kieszeni po papierosa. Chwilę zapalał go i Krzysztof widział w jego szarych, zmrużonych oczach błysk ironii.

– Taki jest wasz Bóg. Jak to było? Niebo, drzewa, kwiaty, las sosnowy, piękny las – ironia była wyraźna – Szanuję wasze przekonania, młodzieńcze, niemniej zaczniemy od katechizmu – tak powiedział mój kapelan major Borski.

Krzysztof patrzył mu w oczy z wyzwaniem. ta rozmowa wyzwoliła go zupełnie. Czuł się silnym, gotowym do sprzeciwu. Rozumiał już – wydawało mu się – wszystko. Interwencja? Śmierć? Sprawiedliwość?

Pojęcia układały się w dokładnie zarysowane koło, wynikały z siebie prawidłowo. Potrafi dać sobie radę z tym oficerem, który ironią ratuje swą wątpliwość i kruchość, przecież to wyraźne.

– Lubiak dopalał papierosa. Ignorował zupełnie gotowość Krzysztofa. Zapatrywał się tępo w przestrzeń z ręką opartą na deskach wozu.

– Kapelan Borski- zaczął szeptem – rozmawiał ze mną podobnie, tzn. kiedy stałem na jakimś tam posterunku zagapiony w gwiazdy ... I wiecie zapytał, jak ja was: O czym to myślicie przez tę godzinę? I dlatego zapytałem was: przez godzinę, nie: przez dwie, prawda? Czy wiecie, że miałem swojego Boga? To bardzo dziwne, ale opowiadałem Borskiemu jak wy – no że, las, kwiat, woda ... Major Borski rozmawiał ze mną jeszcze raz tylko. Potem nie mógł. Został zabity w jakiejś głupiej nadzwyczaj historii. W ostatniej rozmowie, w tej drugiej znaczy – mówił mi właśnie o samotności i sprawiedliwości. Acha, to było dosyć dawno, no, to cała rozmowa i kapelan, to było w 20-tym.

Krzysztof domyślał się tego od początku monologu Lubiaka. Poznał skąd twardość i szczwaność oficera, stary wyga. Stary wyga wyprostował się. Służbowo.

– Godzina

– 5.30 p. poruczniku.

– W drugiej rozmowie powiedział właśnie: szanuję wasze przekonania młodzieńcze, nie mniej zaczniemy od katechizmu. Nie zdążyliśmy całego, ale wystarczyło. Przyszły momenty, które dopełniły ...

Znowu służbowo.

– Trzeba będzie zbiórkę śniadanie i w drogę!

Idąc już ku stodole, gdzie gwarzono półgłosem, powiedział zupełnie niefrasobliwie:

– Poznacie prawdę, kiedy przyjdzie, no ...

Krzysztof wstrząsnął się. Ale on mówił identycznie. Tak myślał on, Krzysztof. Czy powiedział już – umierać? Nie, inaczej powiedział, zmienił:

– Kiedy staniecie śmierci w oczy, kolego.... Jak się nazywacie?

– Milewski.

– Kiedy staniecie śmierci w oczy, kolego Milewski.

## DO ZMARLEJ

Pusty po tobie powietrza słup  
oczy mi mrozem przekłuł;  
dochodzi do mnie świergot twych stóp  
gołębic; szelest  
sukni najłżejszy, koralu dźwięk  
okrągły, nikły jak dzwonów pęk  
u głowy twojej w kościele.

Ze snu powstaję i cieniem rąk  
niereczywistych dla mnie i trudnych  
szukam oddechu twojego. Skroń  
zgina mnie ciężka jak kamień – i  
widzę przez oczy które mróz przekłuł:  
ciało twe drobne kuli się w trumnie  
w chłodnej koszuli jak w śniegu

Rozumiem teraz błyskawic syk,  
wołanie kwiatu, gdy pryska w twarz  
kolorem silnym; i garstkę śpiewu  
w krzaku pobliskim ciemnym jak głąz.  
Lecz język wtedy martwy był. Nie mógł  
odczytać pisma, które o powiek  
nosiłem niemy światłu podobne.

Kto wzywał ciebie miłosną tak,  
że ręką zimną, senna jak plusk  
odwiodłaś świat ten? Godzina inna  
była, i inny księżyc się kładł,  
sen gęstniał wonny, więc w oczach rósł,  
zagarniał usta. Ciało jak linia  
proste zostawił... Kroplami żal

świec sinych pada i stopy parzy  
behradne kruche w pościeli tej.  
Twarz moja ciemna – noc na mej twarzy  
wilgotna, czujna jak z tobą we śnie.

Kto głosem wzywał z ciemności nagłej  
i wywiódł ciebie z miejsca miłego,  
ciało otworzył i na dnie skały

ziemskiej zostawił?

— — —

Wysoki świat  
leży jak słońce ślepe na brzegu  
chmur spadających. i dudnią dna  
wód kamieniach z lawy i srebra;  
z komet chodzących świetlisty łuk  
tęczy zawisa lekki jak brew  
i jak muzyka toczy się huk.

Podziemna przestrzeń wyrasta w głębi:  
drzewa jak ryby, skały jak bór,  
szumi jak rzeka zielony węgiel,  
bryła otwiera usta do krzyku,  
spada gwałtownej ciemności nurt  
po mchach żelaznych, grzybach krzemiennych  
i noc kołysze głuchą muzykę.

Dla mnie, dla ciebie dla wielu z nas.  
Ty tylko szmer ten pojęłaś szybciej  
i wiesz dlaczego chmur chwiejnych masz  
nie ma krawędzi i czasu nie zna,  
a człowiek milcząc śpiewa jak skrzypce,  
dłonie złamane śmiesznie wyteża  
i czeka nogą szukając dna.

Chwila to nazwij albo strumieniem  
Kolorów wszystkich i woni świeżych.  
Jak pejzaż przeszło obok milczenie  
i stoję: w oczach łamie się tło,  
niebo faluje krótkie przez rzęsy  
i znowu nie wiem patrząc w to miejsce,  
jakie w nas struny wyschnięte mrą.

Podwoję ilość imion daremnych,  
uśmiech przypomnę srebrny jak sierp  
i nad parzystym widmem twej ręki  
oczy zawieszę czarne od świec.  
Ale czy dojrzę, ale czy chwycę  
ten dźwięk, tę nutę wybraną z mrozu,  
co pada za mną i truje liście

drzew jak posągi rżnięte w złej zorzy?  
Pod słońcem małym dogna mnie tchnienie  
z jarów śmiertelnych; – stuloną dłoń  
położę wówczas w nagim strumieniu  
tych niepojętych wolań za mgłą.  
Ale czy znajdę światłem przebity  
tę chwilę skąpą, jak okno wąską,

kiedy widnokrąg podobny szybie  
sunął pod chmury perłowy łoskot,  
i wiódł falistą sukni twej kroplę?  
Dochodzi do mnie powtórny sen:  
jak witraż fiolet u twych stóp  
i ciało czeka chłodne i proste  
nocy, o której tak mało wiem.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

### DWUGŁOS O „OKNIE” M. CHMURY<sup>3</sup>

#### I.

#### POEZJA SKAMIENIAŁEJ PRAWDY

M a r e k C h m u r a . O k n o . Warszawa 1943. Biblioteka Sztuki i Narodu. Powielono egzemplarzy 125 numerowanych. str. 18.

Tom zawiera 8 krótkich liryków prozą i podobny do nich formalnie poemat „Okno”. Pod względem formalnym jest to gatunek literacki, który jeszcze, jakby to rzec, u nas „nie opatrzył się” i zaskakuje trochę

czytelnika tak jak np. w swoim czasie poezje bez znaków przestankowych i wielkich liter. Tym razem jednak inwencja ma głębszy sens i jest zdaje się narodzinami istotnego gatunku literackiego, zwłaszcza gdy znajdują się poeci, którzy zechcą konsekwentnie prowadzić dzieło tak lansowane przez autorów „Rannego różą” i „Okno”. Gatunek ten wydaje się być zasadniczym a nie przejściowym. Być może leży on w końcu ewolucji, która zmierzała tak zwana poezja awangardowa w swych antystroficznym dążeniach. Nasycania wiersza prozą i walka z melodyjnością musiała mieć jakiś kres. Często tak bywa, gdy miesza się obce sobie substancje. Roztwór daje się nasycać stopniowo – wreszcie się strąca. Podobnie stało się widać i w poezji. Oto widzimy u bardziej twórczych poetów – wersyfikatorów powrót do strefy, bo do melodii, z drugiej strony zaś wykrystalizowanie się „liryków prozą”, krótkich, pełnych kondensacji i poetyckiego napięcia utworów w których po zrezygnowaniu z melodyjności i strefy zrezygnowano następnie w ogóle z układu wierszowego i zamknięto go w zdaniach podobnych do narracyjnej prozy, tyle że bardziej skondensowanej i przesyconej zasadami wiązania i obrazów w sposób zbliżony do tego jaki się zdarza w poezji. Że mamy tu do czynienia istotnie z wykrystalizowaniem się i wzajemnym strąceniem gatunków mógłby potwierdzić jedyny wierszowany fragment w książce – mianowicie 2-gi fragment poematu „Okno”: dwie pełne i jedna niepełna sekstyny heksametryczne!

Tom ma nie tylko zakrzepłe oblicze pod względem formalnym – pod względem tematyki dominuje w nim również jedna nuta. Czuły na plastyczną, trójwymiarową rzeźbiarską konkretność świata autor którego każde zdanie wydaje się jakby ryte głęboko w ciężkim metalu, zdaje się również zmagać w treści swych utworów z pewnymi ebsejzami co zresztą bynajmniej nie wychodzi na szkodę ani jego poezji ani ukonkretnieniu ostatecznej wizji świata, jak się wynurza z chmury obrazów. Obrazów? Nie, raczej zastygłych posągów i aż boleśnie wypukłych, uchwytnych przedmiotów.

Nie jest to wizja optymistyczna. Popielata barwa pesymizmu spoczywa na świecie widzianym przez autora. Jeśli jest jakieś przemocą wyrąbane okno na rzeczy ukazujące rację bytu, to nie jest to okno ani uniesienia, ani nadziei, ani nawet miłości do próby, która naznacza ziemię, lecz o k n o n a p r a w o ś w i a t a , na głębszy porządek rzeczy. Tkwi w tym jedna wielka szansa i jedno wielkie niebezpieczeństwo. Szansę daje odporność na rozczarowanie, antyromantyczną świadomość ciężaru świata i bezduszości jaką przygniata materię. O, z tej pozycji na pewno wielkie słowa nie będą rzucane ani nadaremne, ani na chybił trafił. Niebezpieczeństwo zaś tkwi w tym, że cienkie przepierzenie tylko oddziela autora od f a t a l i z m u . Nie wiemy nawet na pewno, czy to przepierzenie istnieje, bo nam się wymyka spod obserwacji. Być może dlatego, że wizje autora są bardzo statyczne, a przeznaczenie bardzo nie lubi ruchu. W opanowaniu formalnym i filozoficznym zagadnień r u c h u i c z a s u widzimy dla autora drogę do rozszerzenia swej wizji artystycznej i zrozumienia prawdy świata, która na razie ukazała się autorowi jasno w jednej tylko skamieniałej postaci, choć możliwości tego że jest lotna i płynna autor zasadniczo nie odrzucił.

Bronisław Łuski [Jerzy Zagórski]

## II.

## PRZEZ PRYZMAT METAFORY

Tomik Chmury to legitymacja artystyczna niewątpliwie – indywidualności. Nie jest to pozycja zdolna do epatowania wszystkich czytelników właśnie dzięki odrębnemu, własnemu profilowi, jaki posiada każda indywidualność. Chcąc określić jej cechy, jej typ, wystarczy zanalizować wizję artystyczną poety, któremu rzeczywistość układa się w fragmenty jakby mozaiki, barwą jedynie i jej refleksem wywołującą wrażenie ruchu. Posługując się powiedzeniem autora „Okna” – świat dla niego zamknięty jest „w szklanej kuli nie większej od pięści”. Elementem zdrabniającym rzeczy, nadającym im wymiar jest w tomiku metafora. Typowe dla poety z d r a b n i a n i e nie buduje bynajmniej czechowiczowskiej miniatury, cacka z saskiej porcelany, lecz nadaje rzeczom jakiś nierzeczywisty lecz przekonujący artystycznie sens. i dlatego powtarzający się u Chmury świat może być tak mały, że zmieści się w szparze podłogi, trzonku szczoteczki do zębów, lub skurczy się do plamy na marynarce, da ustawić się jak obrazek. Człowiek dominuje w tym świecie również znikomy, a przecież tragiczny i patetyczny.

Metafora Chmury obdarza rzeczy psychiką, szuka powiązania między nimi a człowiekiem, doszukuje się w przedmiocie niemal istoty rozumnej, współczującej. I odwrotnie – człowiek jakby dla wyrównania, podstawia się pod istnienie przedmiotu, sprzętu lub dźwięku. Zarysowująca się już w pierwszej części tomu linia tragiczna rozgałęzia się w poemacie i daje szczególnie wydzwięk smutku.

Ma on wyraz najczystszy w płaszczyźnie o s o b i s t e g o konfliktu poety z rzeczywistością. Przeniesienie zagadnienia na płaszczyznę dziejową daje słabsze wyniki artystyczne, jak w liryku „O wojnie” lub „Piosence”.

Powięzienny poemat „Okno” jest raczej cyklem poetyckim, w którym rolę czynnika kompozycyjnego gra tylko temat utworu, – niż poematem właściwym. Poszczególne liryki, o charakterze wybitnie impresjonistycznym, w którym skojarzenia pozbawione są momentów konstruktywnych – potwierdzają to. O ile w pierwszej części tomu, zawierającej drobne liryki, spotkać można w śmiałej metaforyce autora niedociągnięcie, lub efekt zbyt rażący, o ile dysonans jest tam nadużywany i nie zawsze powściągliwy, o tyle w części drugiej – opanowanie słowa, męski umiar, dojrzałość jest wyraźna. Świeża, silna proza Chmury wypowiedziała się już pełniej.

W „Oknie” znajdują się też dwa fragmenty (4 i 7), godne rangi najwyższej. W sumie – pozycja silna, stwierdzająca dalekie zaawansowanie się poety w drodze artystycznej. Tom obok bogactwa metafory – powiedzmy zdobiącej – posiada wewnętrzną, spinającą całość metaforę – a to jest zdobycz godna pochwały.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

## DWIE KSIĄŻKI

Arkady Fiedler: „Dywizjon 303”, przedmowa i postłowie wydawców. Wyd. „Ruch Miecz i Pług” Warszawa, 1943. Str. 72.

Juliusz Górecki<sup>4</sup>: „Kamienie na szaniec” opowiadanie o Wojtku Czarnym<sup>5</sup>. Wydawnictwo KOPRu<sup>6</sup>. Warszawa 1943. Str. 68.



Wojna jak każdy wielki kataklizm, otwiera przed nami przepaści i perspektywy niedosięte oku w czasie innym. Co krok obala nas i zdobytą przez nas – rzeczywistość, którą utarło nazwać się dzisiaj tragiczną.

Zdaje się być rzeczą oczywistą, że taki stan rzeczy sprzyjać powinien rozwojowi twórcy-pisarza. Rzeczywistość, czasem nieoczekiwanie i brutalnie, ocierając go o najgłębszy, metafizyczny nurt istnienia, odsłania mu swoje dno, pozwala je prawie dotknąć i zrozumieć. W publikowanej dotychczas drukiem prozie – nie widać na ogół takich opowieści – reportażu można zaliczyć dwie pozycje książkowe, które ukazały się w ostatnich miesiącach na rynku literatury podziemnej. Są to: znany powszechnie już „Dywizjon 303” Fiedlera i popularne również „Kamienie na szaniec” Góreckiego.

Pierwsza książka zdaje relacje z walki myśliwców polskich na terenie Anglii. Dzieje ich poczynszy od 1940 r., wielkiej inwazji niemieckiej na Wyspę, przedstawione są zwięźle, lecz kapitalnie. Druga to powiadanie o czteroletniej akcji dwu bojowców-konspiratorów w Warszawie. Pomimo podobieństw metody, wymowa książek jest różna jak różny jest heroizm przez nie opisywany. Lotnicy broniący Anglii to sylwetki żołnierzy-sportowców prowadzą oni walkę pod jasnym, pogodnym niebem, walkę równych z równymi. Ton książki Fiedlera jest też pewny i pogodny.

Bohaterowie Góreckiego walczą o kilkadziesiąt metrów niżej. Ich praca jest szara, niewdzięczna, nierówna. Śmierć spotyka ich również szara, jak ich trud. Technika narracji jest w obu wypadkach odmienna. Górecki prowadzi akcję tomu takim jednostajnym opowiadaniem, wzrost ekspresji i spięcie dramatyczne ostatnich fragmentów osiąga raczej przez wymowę samych faktów. „Dywizjon 303” jest zbiorem starannie złożonych reportaży, z których każdy może istnieć autonomicznie. Rozdziały takie, jak „Chmura” lub „Mit Messerschmitta 110”, są nawet skomponowane bardzo zręcznie. Całość tomu ma stworzyć możliwie rozległy obraz życia myśliwców polskich przy czym dydaktyczny akcent całości pada na ich niezłomną bohaterską niejednokrotnie postawę. Autor „Dywizjonu 303” znany już był przed wojną jako mistrz potoczystego i smacznego stylu felietonowego. W pracy omawianej – cechę tę zachował nadal. Oto próbka: „Niektórzy myśliwcy z „303” walczą jeszcze z Messerschmittami. Porucznik Dzidek strąca jednego sierżanta Szapozzka drugiego, porucznik Piś trzeciego. Przy tym trzecim – Piś miał pecha. Zestrzelono mu maszynę i myśliwiec musiał skakać ze spadochronem. Wyskakując zahaczył się jednym trzewikiem o brzeg kabiny i długi czas leciał z samolotem, wisząc głową na dół. Wreszcie wyrwał nogę z trzewika i szczęśliwie wylądował w skarpetce. Wtedy się zawstydził. W skarpetce była dziura”. (str. 27)

Książka Fiedlera wyszła po polsku w Anglii nakładem „Kolin’a” bogato ilustrowana. Jeden z tych

rysunków widzimy na okładce przedruku warszawskiego. Nawiasem mówiąc – u nas, książka Fiedlera miała już kilka wydań. Jest to najlepszy dowód jej poczytności i chłonności rysunku na ten gatunek literatury. Lektura „Dywizjonu” to szereg szczerych wzruszeń. Pewne wątpliwości natury pedagogicznej związane są z drugą książką recenzowaną, „Kamienie na szaniec”! Dramatyczne dzieje postaci głównych niosą z sobą wiele zastrzeżeń co do wpływu na psychikę młodzieży, chłonącej tego typu literaturę zachłannie. W ostatecznym wyniku obie pozycje mają wygłos raczej dokumentu, niż dzieła literackiego.

J. Oborski [Stanisław Marczak]

## I TAM PODOBNI

„Wiadomości Polskie” Londyn, 15 sierpnia 1943.

Sześciostronicowy, o wymiarze „wiadomości Literackich” numer „Wiadomości Polskich” jest niewątpliwie rewelacją na naszym terenie. Z uczuciem pobożnej ciekawości bierze się to pismo do ręki, z wiarą, że lektura będzie pokrzepieniem, zastrzykiem rzetelnego optymizmu. Już artykuł wstępny redaktora „WP” Zyg. Nowakowskiego niszczy tę nadzieję. „Piatiletka pielgrzymstwa” wprowadza nas bowiem w dobrze znaną atmosferę tarć i goryczy, ukazuje pewną równoległość problematyki politycznej z całym jej bogactwem dialektycznym, jednym słowem – i „tam” jest podobnie.

„Nie trzymamy się. Idziemy luzem, każdy osobno, każdy inną drogą z wyjątkiem tej nielicznej grupy ludzi, którzy mają w kieszeni tajemnicze, nigdy nieprzedawnione, mandaty z kraju”.

Zdanie to w innym sformułowaniu czytamy co dzień, jest ono narzucającym się wnioskiem z obserwacji naszego „krajowego” porządku politycznego. Bolesna szczerłość autora artykułu zaskakuje zwłaszcza, kiedy ma odcień ironii „Pomyśleć sobie musimy: jakże tam wracać? Co zadeklarujemy na cele? Jakich żądać będą paszportów, jakich wiz wjazdowych, tam, na granicy, u której pragniemy klęknąć, ucałować ziemię i bezzwłocznie rozpisać wybory – powiedzmy, bo cóż to nas tu kosztuje – sześcioprzymiotnikowe”.

Stanisław Stroński w artykule „Hasło zbędne i błędne” przeciwstawia się tendencjom pewnych grup politycznych na emigracji, które proklamują Polskę chłopsko-robotniczą. Stroński argumentuje: hasło to „nie jest oddźwiękiem myśli snutych obecnie w kraju” – myli się. Popełnia zresztą szereg naiwności, które trzeba rozgrzeszyć. Bo cóż właściwie wiedzą o nas „tam”? Recenzja z publikacji o terrorze niemieckim w Polsce potwierdza to. Wiedzą bardzo niewiele. Stronę literacką pisma reprezentuje dział poezji i prozy artystycznej. Trudno o kryteria artystyczne. Co byśmy nie powiedzieli o tych utworach ważne jest tylko, że tchną one szczerą, wzruszającą tęsknotą za krajem. Przemawia ona z prymitywnych strofek wiersza Antoniego Bogusławskiego pt. „Głos Warszawy”, z miłej, „Elegii o domu rodzinnym” Stanisława Balińskiego i z tetmajerowskiego wiersza Ignacego Balińskiego pt. „Zapał”.

Prozę reprezentuje fragment z opowieści o Tobruku Janusza Jasieńczyka pt. Water (woda). Dopisek redakcji wyjaśnia, że powieść tę wydobyto z samolotu gen. Sikorskiego po katastrofie. Znany felietonista Karol Zbyszewski w artykule „Nie obawiajmy się słów angielskich” usiłuje dowieść, że ubóstwo językowe



Polaków usprawiedliwiłoby pożyczkę materiału językowego angielskiego. Tendencja dziwna, styl felietonisty silący się na krwistość i dowcip – niesmaczny.

Dalsze kolumny „Wiadomości Polskich” zapełniają pracę pióra H.J. Łubieńskiego: „Afryka w latach 1914 – 1942”, M.K. Dziewanowskiego: „V for Victory” – dzieje symbolu zwycięstwa. Karola Balińskiego „Naród i poeci” i inne.

Ogólnie: pismo eklektyczne, nerw publicystyczny zawdzięczający indywidualności swego redaktora. Przypadkowość materiału zawartego w numerze usprawiedliwiona jest brakiem... ludzi, lecz czym owa atmosfera goryczy, zgrzytów i bolesnej ironii, tak łatwo dającej się wyczytać między wierszami.

k. top. [Tadeusz Gajcy]



**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu  
Promocji Kultury

<sup>1</sup> Andrzej Trzebiński

<sup>2</sup> (łac.) „swego rodzaju”.

<sup>3</sup> Zdzisława Stroińskiego

<sup>4</sup> Aleksander Kamiński

<sup>5</sup> Podtytuł podany jest błędnie – Kamienie na szaniec pierwotnie nosiły podtytuł „opowiadanie o Wojtku i Czarnym”.

<sup>6</sup> Wydawnictwo Komisji Propagandy Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu Warszawa Armii Krajowej.